

O czytaniu Marksa, gdy stał się on potworem

1. O kogo tu chodzi?

Konferencję w Pobierowie (1-6 września 2011 r.) zatytułowano: „Czytelnicy Karola Marksa”. Określenie to wydało mi się niejednoznaczne. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Może przecież znaczy ono, iż ci, co w niej udział biorą, chcą porozmawiać o niegdysiejszych i współczesnych czytelnikach Marksa. I o różnych dla nich teoretycznych użytkach z jego tekstów. Może jednak chodzić o coś innego: o spotkanie dzisiejszych jego odbiorców, którzy chcą się podzielić refleksjami na temat swych sposobów czytania i interpretowania prac autora „Kapitału”. W pierwszym przypadku byłoby to czytelnicy jego czytelników; w drugim – bezpośredni aktualnie ich krąg. Ale, gdy się przyjrzeć jednym i drugim bliżej, okazuje się, że żadnej niezgodności tu nie ma; że pierwszy sens tytułu konferencji nie wyklucza drugiego.

Nie ma wszak lektur bezpośrednich. Do każdej (także własnej) przystępuje się przecież z jakimś wyobrażeniem o ich autorze. Między innymi – na podstawie społecznego funkcjonowania jego idei, relacji komentatorów i teoretycznych użytkowników. Każda więc aktualna lektura Marksa, czy chcemy tego, czy nie, dokonuje się poprzez tych, co naszą wiedzę o nim urobili lub urabiają. I ufamy im tak przynajmniej, jak przekupce na targu z warzywami: że kiedy wydaje nam ona resztę, nie wciska fałszywych banknotów, choć praktyka pokazuje, że przekupki bywają uczciwsze od wielu intelektualistów.

Z drugiej strony nie tylko wcześniejsi czytelnicy Marksa kształtują oddających się jego lekturze teraz. Na odbiór jego tekstów, i utworów tych, co go interpretowali, mają znaczący wpływ intelektualne koniunktury, jakie panują w danym okresie w życiu duchowym (zwłaszcza na uniwersytetach), jakie dominują ideologie i obowiązują zasady politycznej poprawności, którym podlega się (i ulega) bezwiednie lub świadomie. Z tego powodu należy zdać sobie sprawę ze swego społecznego uwikłania i duchowego stanu posiadania, aby nie udawać filozoficznej panny na wydaniu, która oddaje swą rękę (i łóżę) pierwszemu lepszemu, co ją zauroczył. W tym wypadku Marksovi.

Dotyczy to zwłaszcza tych, co, jak ja i wielu innych, od co najmniej kilku dziesiątków lat bywają w rozmaitych kręgach myśli Marksovskiej i marksistowskiej. Nam też bowiem się zdarza przybierać pozę takiej panny. Zapominamy często zwłaszcza o określających nas uwarunkowaniach społecznych i politycznych. Ale odnosi się to również i do innych, co jeszcze na filozofowaniu zębów nie zjedli; co szukają (różnych od aktualnie funkcjonujących) punktów widzenia i perspektyw myślenia o świecie. A przecież, jak wszyscy, są oni także dziećmi historii i swoich czasów. Czytanie Marksa więc wymaga zdania sobie sprawy z obecności jego tekstów w wielu jednocześnie kontekstach, których oddziaływanie wpływa na nasze rezultaty poznawcze.

2. Marks jako potwór

Dzisiaj jednak sprawą podstawową jest pamiętanie, że teksty Marksa funkcjonują u nas od ponad dwudziestu lat jako swoiste ucieleśnienie intelektualnego zła, które podobno urzeczywistniała praktyka komunizmu. Ich autor zaś to potwór, który w praktyce teoretycznej, w swym życiu osobistym i w działalności publicznej, deptał wszelkie ludzkie wartości.

Taki zresztą jego obraz, jako myśliciela i osoby, ukształtował się jeszcze w czasach, kiedy był obecny na tym łóż padole. Wszak nieprzypadkowo, gdy pod koniec życia był w uzdrowisku na, jak powiada Francis Wheen, „niemożliwie burżuazyjnej Isle of Wight” to „gdziekolwiek się pojawił, inni goście zdumiewali się, że przerażający komunistyczny potwór jest w istocie duszą

towarzystwa na prywatnych przyjęciach”¹. Nieprzypadkowo, bo taka opinia sama się narzucała zwolennikom kwestionowanego przezeń kapitalistycznego ładu. Marks znał zresztą rozmaite jej wersje i niekiedy się zżymał. Boć zdawał sobie sprawę, że wpływa to na odbiór jego teorii i jej deformacje. Liczył jednak na to, że to nie przeszkodzi jej w obecności i oddziaływaniu wewnątrz klasy robotniczej. Jednakże im bardziej ono rosło, tym mocniej i dobitniej straszył klasy panujące i ich literackich przedstawicieli.

To dawne jednak jego postrzeganie jest niczym wobec licznych, obecnych w naszej sielskiej, wolnej i pięknej krainie Chrystusa Króla, pielgrzymek, różańca i kartoflanego nacjonalizmu. Przede wszystkim: uznany on został nie tylko za duchowe źródło „komunistycznych zbrodni”, do których zaliczono zarówno znane praktyki stalinizmu, jak i wszelkie działania (także intelektualne) na rzecz ustroju, opartego na innych zasadach, niż kapitalistyczne stosunki własności. Został więc on potępiony i skryminalizowany wraz z minionym ustrojem społecznym i każdym radykalnie-lewicowym ruchem politycznym. Wszystko więc teraz można o nim i funkcjonowaniu jego myśli powiedzieć, byle tylko było to negatywne.

Zniechęca się też do czytania jego pism, bo – podobno – szkoda czasu na przedzieranie się przez ich mroczne i zawile wywody oraz nic dziś nie znaczące frazesy ideologiczne. A jeżeli już by się ktoś uparł, aby się czegoś więcej o nich dowiedzieć, niż donoszą gazety i właściwe, prawomyślne encyklopedie, to wystarczy, jak to napisał gdzieś Marcin Król, że poczyta się sobie trzynomowe „Główne nurty marksizmu” – Leszka Kołakowskiego. Tam bowiem jest wszystko, co wiedzieć należy. Tym bardziej zresztą powinno być to wskazane, bo gdyby przestrzegać litery obowiązującego dziś w Polsce prawa, każdy, kto nie tylko Marksa czyta, lecz trzyma jego książki nawet w prywatnej bibliotece, może być ścigany przez historyczną policję IPN.

Wszystko to tworzy atmosferę, w której, nawet w czasopiśmie wydawanych przez środowiska lewicowe, pojawiają się ujęcia Marksowskiego życia, myślenia i działania, mieszczące się horyzoncie, jakby powiedział Hegel, kamerdynerskim, znizonym jednak do perspektywy małomiasteczkowej, domowej kucharki (a raczej umysłowego garkotłuka). Taka teoretyzująca kucharka wszak, jak i ta zwykła, to mają do siebie, że wszystko dla nich jest tak samo ważne, jeśli służy do właściwego przyrządzenia „potrawy”. W pierwszym przypadku myślowej; w drugim – realnej. Składniki więc tej „potrawy”, niezależnie od tego, że mają swą osobliwą naturę, muszą utworzyć jedność po gotowaniu czy smażeniu, i być zupą, pieczenią czy kluskami.

Jeżeli tedy ma np. powstać intelektualna „potrawa” pod nazwą „Rozterki światopoglądowe młodego Marksa” to przydać się może wszystko: wiersze w młodości pisane przez autora „Kapitału”, zdarzenia z jego prywatnego życia, ogólnikowe odesłania do jego dzieł, z pomieszaniem różnych okresów jego twórczości oraz ich mgliście i z niebotycznej dali widzianych kontekstów. Rezultatem zaś jest swoista duchowa bryja, w której jego dokonania rozplywają się. On sam natomiast się jawi, jako drobny pijaczek, doprowadzający rodzinę do skrajnego ubóstwa, leń, mizantrop o niewybrednym słownictwie, cyniczny naciągacz i nieudolny gracz na giełdzie.

„Tryb życia polegający na zażartym pisaniu, wykształcenie filozoficzne – powiada Jadwiga Sebsta – oddalały Marksa od tej wizji zdrowia ludzkiego, jaką sam był stworzył. Nie należał do tych jednostek, które mogły żyć spokojnie z pracy własnych rąk. Pióro nie służyło mu do pomnażania majątku. (...) Marks nie był zbyt popularny wśród ludzi mu współczesnych: na jego pogrzeb przyszło tylko kilkanaście osób. W zasadzie dopiero w czasach postkomunistycznych i w tych krajach, gdzie marksizm się nie przyjął, doszło do rzeczowej analizy dorobku Niemca z

1 F. Wheen, *Karol Marks. Biografia*, Warszawa 2005, ss. 310-311.

Trewiru. Pięćdziesiąt tomów pism tego myśliciela doceniono ze względu na godne rehabilitacji intuicje i teorie gospodarcze².

O Marksie więc – z perspektywy teoretyzującej kucharki – powiedzieć można wszystko, cokolwiek ślina na język przyniesie, byle dystansowało to wobec tego potwora. Ale zjawisko, jakie stanowi owa kucharka, nie jest dzisiaj jednostkową anomalią, lecz oczywistością w polityce, środkach masowego przekazu i zwykłych pogaduszkach Rodaków. Gdyby takich kucharek zabrakło, rację bytu utraciłyby całodobowe informacyjne stacje telewizyjne, prasa brukowa, plotkarskie pisemka dla pań i panów, ale też i liczne, renomowane wydawnictwa intelektualne. A powołuje je do istnienia, funkcjonująca jako „normalna”, perspektywa postrzegania. Polega ona na tym, że w jej obrębie widzi się intelektualne, społeczne i polityczne działania ludzi li tylko jako funkcje ich ambicji, wad, psychicznego stanu i sposobu życia prywatnego. Boć to wszystko na co dzień kucharce jest dane bezpośrednio. I to stanowi dlań miarę wszystkich, nawet największych, ludzkich dzieł.

3. Inteligencja jako klasa sług i poprawność polityczna

Oczywiście, rzecz by można, że nikt poważny nie bierze tego wszystkiego na serio. Żyjemy wszak w wolnym kraju i każdy może czytać i myśleć co chce, nie lękając się żadnej policji historycznej i lekceważąc opinie zarówno prawicowych antykomunistów, jak i teoretyzujących kucharek. Z drugiej wszakże strony nie tylko ideologiczne poniewieranie PRL, lecz także antymarksowskość i antymarksizm wpisane zostały w duchowe podstawy, legitymizujące kształtowany od czerwca 1989 roku ustrój państwa i gospodarki. W tym kontekście negatywny stosunek do jego dorobku stał się powszechnym probierzem patriotyzmu oraz lojalności wobec niego.

Pozornie jednak ani patriotyzm, ani lojalność nie wchodzą w obręb wartości, składających się na etos intelektualisty. Na pierwszym w nim miejscu znajduje się przecież poszukiwanie prawdy, bezkompromisowość w jej głoszeniu oraz walka o właściwe warunki jej obecności. Każda więc idea, niezależnie od tego, kim był w polityce czy w życiu prywatnym jej twórca; czy wydaje się on nam sympatyczny, czy jest jeno niecznym i mrocznym potworem; każda tedy idea bez wyjątku musi być rozpatrywana dla siebie samej, ze względu jej walory intelektualne.

Ale już Artur Schopenhauer zauważył coś, co odnosi się do całości funkcjonowania humanistów, zwłaszcza akademickich. Wspominając oto losy Immanuela Kanta powiada, że: „Filozofia uniwersytecka z reguły na pozór tylko wojuje (o prawdę – *J.K.*); jej prawdziwym celem jest nadanie samym podstawom myślenia studentów takiego kierunku, jaki ministerstwo mianujące profesorów uważa za właściwy. Z punktu widzenia racji stanu może to być nawet całkiem słuszne; tylko wynika stąd, że taka uczelniana filozofia jest drewnianym pajacykiem³”.

I chociaż myślenie Marksa różniło się od Schopenhauera jak niebo od ziemi, w poglądach na tę sprawę dzielili podobny punkt widzenia. Ale autor „Nędzy filozofii” widział to znacznie szerzej. „W dziedzinie ekonomii politycznej – czytamy w «Kapitale» – wolne badania naukowe natrafiają nie tylko na tego samego wroga, co w innych dziedzinach. Swoista natura materiału, jakim zajmuje się ta nauka, mobilizuje przeciw wolnym badaniom naukowym najbardziej gwałtowne, małostkowe i nikczemne namiętności duszy ludzkiej, mianowicie furie interesu prywatnego. Tak np. kościół anglikański łatwiej wybaczy napaść na 38 z 39 artykułów swej wiary niż na 1/39 część swych dochodów pieniężnych. Dziś sam ateizm jest uważany za lekki grzech w

2 J. Sebsta, „O rozterkach światopoglądowych młodego Marksa”, *Res Humana* nr 6, 2010 r.

3 A. Schopenhauer, *Świat jako wola i przedstawienie*, t. 2, Warszawa 1995, s. 232.

porównaniu z krytyką tradycyjnych stosunków własności⁴. I jeżeli cokolwiek zmieniło się pod tym względem (zwłaszcza w Polsce), to chyba jedynie na gorsze: ateizm bowiem uważany jest za wstęp do kwestionowania tych stosunków.

A klucza do zrozumienia tej sytuacji już dawno temu dostarczył sam Marks, gdy w swych „Teoriach wartości dodatkowej” dowodził, iż inteligencja nie jest żadną klasą, a jeżeli już, to co najwyżej klasą sług. Służba zaś tej klasy polega m.in. na tym, że wytwarza ona intelektualne środki do legitymizacji aktualnie panującego ustroju politycznego i gospodarczego. Za to wszakże, czy panuje taki lub inny system, nie czuje się odpowiedzialna. Wszystkie ustroje są z jej perspektywy nieprzewidywalnymi wytworami żywiołów natury. Ale za to, czy środki te są skuteczne, czy nie, odpowiada jak najbardziej. W tym bowiem wyraża się fachowość owych sług. Od tego zależy ich prestiż, pozycja i standardy życia. Prawda natomiast, i inne aksjologiczne cymelia, związane z etosem intelektualisty, jeżeli okazują się w tej służbie pożyteczne, zostaną natychmiast użyte w myśl zasady: „Po co kłamać, skoro prawda się bardziej opłaca”. Jeśli wszakże ta prawda mogłaby zaszkodzić w dziele legitymizacji panującego ustroju, odbiegać od norm poprawności politycznej, stworzą oni mniej lub bardziej ponętne intelektualnie sposoby obniżenia jej rangi lub całkowitego zdezawuowania.

Nie przypadkiem więc niemal powszechnie obowiązuje dziś norma, że kiedy się z kimś (zwłaszcza wysoko utytułowanym) rozmawia o dowolnym problemie z teorii historii, ekonomii, polityki czy kultury, dialog ma szansę być rzeczowy, dopóki nie nastąpi konieczność pozytywnego odwołania się do Marksa. Wtedy znika często meritum sprawy. Rozmówca wpada w roztargnienie, lub, co nierzadkie, wzrusza ramionami i wypomina Marksowi właśnie grzechy komunizmu i zbrodnie rewolucjonistów. I to mimo faktu, że wiele ze znaczących jego odkryć już dawno weszło do akademickiego elementarza myślenia o świecie. Tak, jakby polityczna anatema i prawna kryminalizacja stanowiły kryteria prawdy i wyznaczały zarazem rangę teoretyczną i zasady selekcji źródeł poznawczych i sposobów odnoszenia się do nich. Choć zdarza się, iż w takiej rozmowie, gdy następuje przywołanie tekstu wrażego autora, interlokutor wyrazi szacunek dla odwagi trwania w kręgu jego myślenia, ale zarazem (z poczuciem wyższości) zaleci krąg lektur „naprawdę otwierających intelektualne perspektywy i inspirujących”.

W tej sytuacji, niestety, niejeden z takich poważnych intelektualistów obniża swe loty do medialnej, ale poprawnej politycznie, magmy ideowej. I jest często z nim tak, jak było z pewnymi dziewiętnastowiecznymi intelektualistami francuskimi wobec ówczesnej rzeczywistości społecznej, którzy – jak czytamy w „18 Brumaire’a Ludwika Bonaparte” – w teorii docierali tam, gdzie w praktyce dochodzą sklepikarze, albowiem mają wspólny horyzont myślenia i działania. Nic w tym niezwykłego. Człowiek bowiem – wedle Marksa – jest sprzecznością, co wynika z jego usytuowania w kapitalistycznej formie społecznego bytu. Jego wszak istnienie to proces kalkulacji i działań, które zarazem mają charakter odśrodkowy i dośrodkowy. Odśrodkowy – ponieważ jego aktywność duchowa i praktyczna rozgrywa się w zewnętrznym wobec jego osoby społecznym świecie stosunków i powiązań. Tam (produkcyjnie lub nieprodukcyjnie) sprzedaje swe umiejętności, siłę i pracę fizyczną bądź umysłową. Dośrodkowy – bo działa też i kalkuluje, by posiadać własną niszę prywatności, czyli świat dla siebie.

Paradoks polega jednak na tym, że warunkiem istnienia tej niszy jest posiadanie środków, które zapewnia kalkulacja odśrodkowa. Z drugiej zaś strony reprodukcja sił i umiejętności dokonuje się właśnie w owej niszy, nie wykraczającej na ogół poza horyzont troski sklepikarza czy wspomnianej wyżej kucharki. Jest więc oczywiste, że dośrodkowa aktywność warunkuje funkcjonowanie odśrodkowej. Niejako więc w tym samym akcie konstytuują się obie, choć

4 Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła*, t. 23, Warszawa 1968, ss. 8-9.

uobecniają w pozornej niezależności regionów swego urzeczywistniania się. Wszak fabryka, biuro, giełda, uniwersytet, gazeta, telewizja itp. to coś innego, niż dom czy mieszkanie.

Człowiek więc istnieje nie mimo tej sprzeczności, lecz dzięki niej, choć na pierwszy rzut oka jedna forma kalkulacji zdaje się różna i przeciwstawna wobec drugiej.

Objawem tego jest niejednorodność i niekonsekwencje działania owej klasy sług. Jak każdą inną – rozdzierają ją sprzeczności. Wyrażają się one często w merytorycznych sporach naukowych i publicystycznych, a niekiedy i w telewizyjnych pyskówkach. Dzięki nim wszystkim wszakże realizowane jest dzieło legitymizacji, a jednocześnie odbywa się gra sprzecznych interesów w walce o uznanie, prestiż i reprodukcję niszy prywatności.

Jednocześnie w owej klasie sług zawsze znajduje się mniejsza lub większa grupa takich, co dbają o przestrzeganie etosu intelektualisty i czują się nieswojo w roli „drewnianych pajacyków”, jak to określał cytowany wyżej autor „Świata jako woli i przedstawienia”. I niektórzy, należący do tej grupy, faktycznie chcą służyć prawdzie, a nie tylko dokonywać legitymizacji systemu, choć wielu z nich i do tego się nagina. Oni to wzbudzają spory o sprawy i rzeczy, które stały się już „oczywistą oczywistością”, jak ta choćby, czy rzeczywiście Marks był potworem. Aliści jedynie nieliczni z nich są eliminowani z gry. Większości włos z głowy nie spada. Ich utrzymanie bowiem w obrębie intelektualistów to najlepszy dowód i bezpośredni przykład obecności tego, czego najbardziej tej klasie brak: wysokiej marki moralnej, niezłomności i przenikliwości. Zarazem jest to sposób pokazania, iż stanowi ona coś więcej, niż prozaiczną klasę sług. Dzięki więc temu i wilk jest syty i owca cała.

4. Intelektualiści z odzysku i poznawcza dziura

W świetle tego wszystkiego, co tu bardzo skrótowo przedstawiłem, nie powinno dziwić, iż po 1989 r. zniknęli nie tylko liczni onegdaj komuniści, lecz rozplynęła się też marksistowska inteligencja. A ci, co się do niej jeszcze niedawno głośno przyznawali, zabrali się ochoczo i gremialnie (z nielicznymi wyjątkami) do wytwarzania duchowych środków legitymizujących nowy ustroj. Nie przeżywali przy tym jakichś szczególnych rozterek moralnych czy światopoglądowych, bo przedstawiciele tej klasy są z reguły niewierzący, lecz tylko praktykujący te obrządki, które należą w danym ustroju praktykować.

Z łatwością więc zamienili te z partyjnych zebrzań np. na kościelne, jak sztandary czerwone na biało-czerwone. Mieliby rozterki, gdyby (jak w 1980 i zwłaszcza w 1981 roku) zmiana ustroju była niepewna. Ale tu wszystko stało się jasne! Nowi Panowie też objawili się z całą swą mocą. Jedyne, co mogło spędzać sen z ich powiek, było to, czy mają odpowiednie narzędzia intelektualne i ideologiczne, czy też muszą uczyć się tworzenia nowych i posługiwania się znanymi z praktyk niedawnej jeszcze opozycji antyustrojowej. Zdarzało mi się tedy spotykać jeszcze niedawnych, żarliwych towarzyszy-humanistów partyjnych, którzy cieszyli się jak dzieci, że wiele z tego, co dotąd pisali łatwo daje się uzgodnić ze społeczną nauką kościoła katolickiego lub wprost z filozofią człowieka Jana Pawła II. Narzekali też oni na „komunę” na sposób idealnie się wpisujący w normy nowej poprawności politycznej.

Nigdy też dlatego nie zapomnę rozmowy (już z 1996 roku) z pewnym znanym profesorem filozofii, ongiś marksistą i czytelnikiem Marksa, który mi w pewnym jej momencie powiedział: „Co za pech, Janku, cała nasza wiedza, która zdawała się tak głęboka i prawdziwa, unieważniona została przez kartki wyborcze z czerwca 1989 roku. Cóż, trzeba teraz szukać prawdy gdzie indziej i nauczyć się myśleć inaczej. Pech, prawdziwy pech!”. I tak to już jest: patriotyzm i lojalność „zobowiązują”, jak konieczność zarabiania na chleb i paliwo do samochodu. A chęć utrzymania

publicznej obecności, i to na pierwszym planie, usprawiedliwi wszystko. Nawet intelektualną wiarołomność.

Wspomnieć w tym miejscu warto np. książkę Jerzego J. Wiatra z 1987 roku, w której, powołując się m.in. na „18 brumaire’a...” Marksa, dowodził, że stan wojenny z 1981 r. był światłym i postępowym przejawem cezaryzmu⁵. Przypomniałem zaś sobie o niej w kontekście jego rozważań z 2010 r. nad „Autobiografią” Andrzeja Walickiego, w których, hołdy składając temu konsekwentnemu liberałowi, powiada: „Pojmując wolność jako unicestwienie spontanicznych sił życia społecznego i rezygnując z ujęcia jej w kategoriach praw i wolności jednostki ludzkiej, marksizm otwierał drogę najpierw do powstania totalitarnej ideologii a następnie do totalitarnej praktyki komunizmu. To, co wielu krytyków z tak zwanego nurtu rewizjonistycznego traktowało jako «wypaczenia», wynikające z rzekomego odejścia radzieckiego komunizmu od «zdrowych źródeł» myśli marksowskiej, Walicki przedstawił jako logicznie nieuchronne konsekwencje sposobu, w jaki Marks i jego następcy ujęli samo pojęcie wolności”⁶.

Pomińmy, że to ujęcie wolności (i ludzkiej jednostki) sytuuje się poniżej nawet myśli Kanta i Schillera, dla których była ona tylko ideą, niemożliwą do wcielenia w świecie empirycznym, a jednostka istniała jako logiczny podmiot transcendentálny. Owe zaś „spontaniczne siły życia społecznego” to teoretyczna figura naturalności kapitalistycznego sposobu produkcji. Jak wiadomo Marks wykpiwał ją m.in. w swej „Nędzy filozofii” w polemice z klasykami burżuazyjnej ekonomii politycznej. Ale Wiatr, dzięki ideologicznemu „podpinaniu się” pod liberalizm Walickiego, spełnia to, co powinien członek owej klasy sług: bez zbędnych ceregieli „kupuje” jego punkt widzenia, aby się zdystansować wobec „totalitarnej ideologii” minionego ustroju i nadać moralnego blasku nowemu. Współuczestniczy zatem w legitymizacji ustrojowych pryncypiów, jak niegdyś, posiłkując się Marksem, legitymizował miniony ustrój. I wszystko w porządku. Wszak jest to jego zawodem i (niekiedy wysokiej próby, choć nie w tym przypadku) umiejętnością. Jenó Marks okazuje się tu potworem, który wszystkiemu był winien...

Takie intelektualne działania są jednak niesłychanie łatwe i proste (jeśli nie prostackie) m.in. dzięki temu, że od czasu transformacji ustrojowej w 1989 r. nie pojawiły się żadne rzetelne badania nad recepcją Marksa, choćby w okresie istnienia PRL oraz badania nad nurtami i filozoficznymi sporami w ówczesnych wersjach marksizmu. Brak również analiz ich społecznego, ideologicznego i politycznego uwikłania. Stanowi to intelektualnie skandaliczną dziurę poznawczą, w którą często wpadają zwłaszcza dzisiejsi młodzi entuzjaści autora „Ideologii niemieckiej”.

W różnych natomiast rozprawach i książkach minionego dwudziestolecia napotyka się tylko mniej lub bardziej wzdargliwe wzmianki o tym, że kanoniczną wersję myślenia o Marksie i filozofii marksistowskiej stanowiła wtedy książka Józefa Stalina „O materializmie dialektycznym i historycznym”. Jej to schematy i uproszczenia zadomowiły się potem w licznych podręcznikowych „cegłach”, mielonych w intelektualnych i ideologicznych młynach Polski, krajów tzw. „bloku wschodniego” i komunistycznych partii na całym świecie. Były też one (podobno) wszechobecne nie tylko w refleksji nad historią czy filozofią, ale i nad ekonomią, historią gospodarki, nad każdą dziedziną człowieczej działalności.

Jednakże, co charakterystyczne, nie zauważa się w ówczesnej filozofii marksistowskiej i czytaniu Marksa niczego poza owymi schematami i ich mieleniem. Takie zaś ujęcie sytuuje się na poziomie potocznych, dziennikarskich ujęć życia w realnym socjalizmie, które sprowadzają je do ponurej egzystencji wśród wszechwładnej i wszechobecnej bezpieki oraz pustych sklepowych

5 J. J. Wiatr, *Marksizm i polityka*, Warszawa 1987. Na ten temat zob. J. Kurowicki, *Ironia pojęć zasadniczych*, Warszawa 1990, s. 168.

6 J. J. Wiatr, „Myśl jest działaniem. Refleksje o «Autobiografii» Andrzeja Walickiego”, *Res Humana* nr 6, 2010 r.

półek, wypełnionych co najwyżej octem. Nic więc dziwnego, że najczęściej spotykaną postawą w inteligentnej klasie sług, legitymizujących aktualny ustrój (ale i wśród wracających dziś do Marksa, czy odkrywających go dla siebie), dominuje pogardliwe sprowadzanie całokształtu ówczesnych praktyk teoretycznych marksistów do wypełniania tych schematów, zależnie od doraźnych zapotrzebowań ideologicznych rządzącej partii. Jest to łatwe, przyjemne i uchodzi nawet za eleganckie.

Powinno zaś w tym kontekście być rzeczą zastanawiającą, że w upowszechnieniu tego myślenia niemały udział mają zwłaszcza liczni w czasach minionych zwolennicy tzw. marksizmu otwartego i pokolenia ich uczniów. Uprawiali oni wtedy m.in. filozofię człowieka i socjalistyczną etykę w oderwaniu od teorii walki klas i społecznych sprzeczności. Zastanawiali się nad jakością życia, pracą jako wartością naczelną, jednością moralno-polityczną narodu, środowiskiem naturalnym, przemilczając rzeczywiste stosunki własności zbiurokratyzowanego socjalizmu. Głosili chwałę rewolucji naukowo-technicznej, która sprawiać miała, że wiodące społecznie miejsce zajmują uczeni i „kapitanowie produkcji”, czyli technokratyczni biurokraci i ich apologeti. Itp. Itp. Ich zaś książki i rozprawy zdobione były wtedy licznymi cytatami i odniesieniami do pism klasyków marksizmu. I to oni nadawali u nas ton w określaniu sposobów czytania Marksa. Zwłaszcza w latach sześćdziesiątych i kolejnych dziesięcioleciach. A wypracowane wtedy poglądy okazały się poręczne i w nowym ustroju. Zniknęły jeno dawne odniesienia i cytaty. Usunięty został rzeczywisty kontekst, bo pamięć o nim była niewygodna⁷. Pojawiła się krytyka PRL i prawicowy antykomunizm, nacechowany mniejszym lub większym dystansem. Chodzi jednak wciąż o to samo, co wtedy: o ideologiczne zaczarowanie realiów naszego kapitalizmu, równie przaśnych, jak sklepowych półek realnego socjalizmu z początku lat osiemdziesiątych.

5. Z potworem pod rękę

Marks powiada, że mottem dla przedstawianych przezeń badań mógłby być napis nad bramą piekieł z „Boskiej Komedii” Dantego: „Wy, którzy tu wejdziecie, zatraćcie wszelką nadzieję”. Jak wiadomo, różnie to potem było interpretowane. Dla jednych oznaczało, że w świecie przezeń ukazanym ludzie nie mogą mieć nadziei na urzeczywistnienie swych pragnień, trzeba więc zmienić go radykalnie. Dla innych, że jest to świat, w którym wszelkie jednostkowe nadzieje na zmiany muszą być płonne, bo rządzące nim prawidła zawsze obracają je wniwecz. Jeśli więc on się zmieni, to dlatego, że załame się pod ciężarem własnych sprzeczności.

Można wszakże to motto w świetle „Kapitału” rozumieć tak, że ten, kto go czyta, odkryje rzeczywistość (z sobą samym w jej granicach), tak radykalnie odczarowaną, że mu ciarki przebiegną po plecach. Nie znajdzie tam bowiem miejsca na żadne ideologiczne mrzonki, usprawiedliwienie swych takich czy innych intencji, polityczną poprawność czy „dobre strony”

⁷ A kontekst ten trafnie już dawno temu przedstawiał m.in. Louis Althusser, gdy pisał, że: „Po XX Zjeździe KPZR przed «intelektualistami» marksistowskimi i komunistycznymi rozpostarła się droga otwarcie prawicowa – i to nie tylko w krajach kapitalistycznych, lecz także w socjalistycznych. Oczywiście nie jest trudne znalezienie podobieństwa między intelektualistami krajów socjalistycznych i marksistami zachodnimi, a tym bardziej między masowym protestem politycznym «socjalizmu z ludzką twarzą» naszych towarzyszy z Pragi z «humanizmem integralnym» Garaudy’ego czy jakimkolwiek innym. Tam nie mieli wyboru słów (słowa nie miały tego samego znaczenia), ani wyboru dróg. Ale tutaj! (...) Przyjmuje się wykorzystywanie młodzieńczych dzieł Marksa, aby wydobyć z nich ideologię Człowieka, Alienacji, Transcendencji itp., bez zastanowienia się, czy system był idealistyczny czy materialistyczny, czy ta ideologia była proletariacka czy drobnomieszczańska” (L. Althusser, *W odpowiedzi Johnowi Lewisowi*, Warszawa 1989, s. 48). I tak już pozostało. Z tym, że po transformacji w 1989 roku to, co przedtem ukazywano jako idee Marksa, po niej – jako „krytykę totalitaryzmu”. Człowiek zaś, Alienacja i Transcendencja świecą nadal na akademickim firmamencie i zaślepiają rzeczywistość.

świata, które należy odkryć i zachować, a wyeliminować „złe strony”. I w tym właśnie sensie w piekle „Kapitału” zatracić trzeba wszelką nadzieję. Owo wciąż trwające piekło wytwarza też rozmaite wersje Marksa, jako potwora. Z drugiej jednak strony dostarcza teoretycznych środków, aby wyjaśniać ich społeczne źródła.

Staralem się ukazać te środki i zarazem, przy ich pomocy, podjąłem próbę wyjaśnienia sytuacji, w której znajduje się współcześnie ktoś, kto chce czytać (i czyta) Marksa. Szedłem więc z Marksem pod ręką ku Marksowi, który na różne sposoby obiektywizuje się społeczne w przestrzeni intelektualnej i ideologicznej za sprawą różnych odmian inteligencji, jako klasy sług. Teraz powinienem te środki zastosować do siebie samego i ukazać, co robiłem i robię w obrębie tej klasy. Dowiodłbym tym samym, że dojrzałem do tego, by wszelką nadzieję zatracić. Zmieniłoby to jednak temat mych rozważań, ale, jeśli mi starczy i odwagi i czasu, postaram się tego zadania podjąć. Musi tego zresztą dokonać dla samego siebie każdy jego czytelnik, jeśli mu zależy na rzetelnej analizie, a nie na stworzeniu jednej z kolejnych wersji jego wizerunku jako potwora.

Zwykły rachunek sumienia teoretycznego bowiem tu nie wystarcza. Prowadzi zresztą do *regressus ad infinitum*, choć na pierwszy rzut oka dokonanie go jest sprawą prostą: wystarczy oto dokonać filozoficznej autoanalizy uwewnętrznionego dobytku teoretycznego. Boć kiedy zabieramy się do myślenia o jakimś autorze, problemie filozoficznym, czy powiązaniem ich układzie, odnosimy to wszystko do mniej lub bardziej wyrazistego pola teoretycznego, obecnego w naszej wyobraźni intelektualnej. Jednakże to pole nie jest ani logicznie i metodologicznie przejrzystą strukturą, ani jakoś uporządkowanym zbiorem pojęciowych narzędzi, jednoznacznie przyporządkowanym takim czy innym funkcjom. Stanowi ono właściwie metaforę zawsze względnego i chybotliwego układu zasad i preferencji danego filozofa, określających zarówno stosunek do świata, jak i czytanych tekstów.

Dlatego proces lektury powinien być zarazem krytyczną analizą owego układu. Jest to jednak ideał, któremu sprostać się nie da. By bowiem to zrobić, trzeba dysponować nadrzędnym wobec niego, który określiłby sposób jego pojmowania. Ten zaś (o ile posiada go czytający) także musiałby zostać poddany krytycznemu oglądowi z pozycji wyższego nad nim. I tak w nieskończoność. Przynajmniej na poziomie każdego, jednostkowego odbiorcy tekstów filozoficznych. Stąd czytanie nasze zawsze jest teoretycznie kalekie, a poznawcza wartość odczytań lektur – względna. I taka zresztą musi pozostać, jeśli nie przypisujemy sobie wszechwiedzy i wszechmocy Demiurga. Żadne zaś pole teoretyczne nie dostarcza dostatecznie pewnego oparcia. Ten jednostkowy więc czytacz tekstów (ja zatem także) może jeno uczynić dewizą swego postępowania zalecenie: „bądź pokorny wobec wiedzy i zarazem nieufny wobec wszystkich jej twórców, łącznie z sobą samym”, choć, gdyby się konsekwentnie doń zastosował, musiałby zapewne zamilknąć.

Mam więc oto świadomość, że bez Marksowskich koncepcji nie zbudowałbym (jako jego czytelnik) tego eseju. Jednocześnie tkwi we mnie jadowity cień sceptycyzmu, który wciąż odradza przeświadczenie, że, trawestując znany utwór Leopolda Staffa, zawartą tu wizję budowałem, zaczynając poniekąd „od dymu z komina”. I być może obecności takiego samego ciernia doświadczał też w swej filozoficznej twórczości sam Marks, który nie tylko swym córkom mawiał, iż najważniejszą dlań zasadą jest dewiza sceptyków: „o wszystkim wątpić”?

Twórczość Marksowska wszakże jawi się również jako coś, co nie ma kształtu wyraźnej doktryny lecz postać nieco chybotliwego i zmieniającego się pola teoretycznego. Gdzie zresztą ta doktryna, a przynajmniej filozofia, miałyby być, to znaczy w których tekstach? – pyta słusznie Étienne Balibar. I dodaje, że „Wszystko, czym dysponujemy, to streszczenia («Przedmowa do ‘Przyczynku’»), manifesty (imponujące) oraz długie zarysy, które jednak w końcu Marks zawsze uważał za nieudane i których – o czym warto pamiętać – *sam nigdy nie opublikował* («Ideologia

niemiecka», «Zarys krytyki ekonomii politycznej»). Nie ma doktryny, są tylko fragmenty (a poza tym analizy, dowody)⁸.

No, można powiedzieć, że lista tych lektur jest tu wysoce niekompletna i upraszczająca. Sam zresztą Balibar w swej „Filozofii Marksa” odwołuje się bogatszego znacznie zbioru jego prac, zwłaszcza do „Kapitału”. Niemniej intencja wydaje się słuszna: żadnej doktryny tu nie ma. Choć z drugiej strony Marksowskie „fragmenty” to coś więcej, niż ptasie pióra zgubione w teoretycznym locie, i swobodnie unoszone przez (nie zawsze mu życzliwe) wiatry historii. Kryje się bowiem za nimi pewna niesłychanie konsekwentna postawa duchowa, wyrażająca się w przynajmniej kilku, charakterystycznych dlań zasadach.

Po pierwsze – w swoistym antynaturalizmie, który skłaniał go nie tylko do tego, by w człowieku widzieć przede wszystkim substancję społeczną, ale też by wszystko, co społeczne postrzegać jako historycznie uwarunkowane i zmienne; jako pozbawione jakiegokolwiek naturalnej „normalności”. To przeświadczenie było dlań ważne, gdy polemizował z klasykami mieszczańskiej ekonomii politycznej i tworzył właściwą sobie teorię historii. Jak sądzę, nie traci ona na znaczeniu współcześnie, gdy za anomalię wobec naturalności kapitalizmu uważa się wszelkie próby wykroczenia poza jego stosunki produkcji; historię zaś sprowadza się (jak to czyni np. Fukuyama) tylko do rozciągniętych w czasie usiłowań, by przywrócić ich (nie)ład.

Po drugie – na bezwzględności w wiwisekcji poznawczej, przed którą nic nie powinno badacza powstrzymywać. Nazywał to on „obiektywnym poznaniem naukowym”, które ma za nic wszystko, co przysłania „rzecz”. Za tę bezwzględność właśnie w „Teoriach wartości dodatkowej” chwalił ekonomistów klasycznych. Widział bowiem w nich uczonych, którzy rozpatrują produkcję ze względu na nią samą, a nie człowieka i jego potrzeby, idee etyczne, interesy tych czy innych klas, jak czyniła to ekonomia wulgarna.

Z tymi dwiema wiąże się zasada trzecia: radykalnego antydydaktyzmu. Sądził on, że nauka nie jest ani od dobrych dla kogokolwiek, ani od złych wiadomości. Chociaż z badań jego wynikało, że kapitalizm, jeśli nie zastąpi go inny sposób produkcji, może przynosić dla większości jego uczestników wieści raczej (choć nie tylko) beznadziejne. Stąd owo wrażenie, o którym mówię na początku tej części rozważań, że kto go czyta, spotyka świat tak radykalnie odczarowany, że mu ciarki biegają po plecach. Ale też w przeciwieństwie do wielu uczonych i myślicieli swych czasów nie wzdragał się przed przedstawianiem nawet najbardziej drastycznych i moralnie okrutnych stron świata społecznego, wynikających z panujących stosunków własności dlatego, żeby nie rodziły one w czytelnikach wątpliwości wobec ich własnych wyobrażeń o wartościach i nie prowadziły one do „niewłaściwych postaw” społecznych. W ogóle nie wyobrażał on sobie nauki, jako dydaktycznej ambony, z której perspektywy można by głosić, że dobro zwycięża, bo musi, a prawda, jak oliwa, zawsze na wierzch wypływa. Wolał mówić za Dantem: „Wy, którzy tu wejdzicie, zatraćcie wszelką nadzieję”. Nic więc dziwnego, że wciąż jawi się jako potwór.

8 E. Balibar, *Filozofia Marksa*, Warszawa 2007, s. 150.